

Maliniewicz zapytał stojącego na rogu ulicy policyjanta o kierunek drogi i skierował się ulicą Hybernską w dół.

Z bocznej kieszeni podróżnego palta wyciągnął portfel, wyjął z niego list i czytał z irytacją:

Wielce Szanowny Panie!

Obowiązek uczciwego i honorowego człowieka zniewala mnie do doniesienia Panu, że Pańskie dobre imię wystawione jest na szwank.

Pańska córka, Józefa, zachowuje się lekkomyślnie, w sposób zupełnie nie odpowiedni dla młodej, dobrze wychowanej pani.

Wyzywająca jej kokieterya i śmiałe zachowanie się wśród męskiej młodzieży budzą oburzenie osób starszych i poważnych.

Ponadto szeroko mówi o tem, że zawiązała ona romans z niejakim Żarnickim, człowiekiem marnym, cieszącym się jak najgorszą opinią. Z tym to Żarnickim odbywa córka Pańska sam na sam długie, dalekie spacery. Odwiedza on ją podobno także w domu.

Więcej pisać nie chcę, bo przykro mi ranić serce ojcowskie.

Przyjazd Pański jest konieczny, albowiem córka Pańska kompromituje się na każdym kroku.

Pozostaję z poważaniem

szczerze życzliwy

„Przyjaciół”.

Radca Maliniewicz z gniewem zniósł list w dłoni. Czytał go już kilkakrotnie zawsze z tem samem uczuciem niepohamowanego gniewu, skierowanego wszakże nie przeciw „życzliwemu przyjacielowi”, którego „obowiązek honorowego człowieka” zniewalał do pisanie anonimowych listów, ale przeciwko córce.

To ona była powodem, że ktoś ośmielił się napisać taki list do niego, do Maliniewicza, ta niepokojna, nieposłuszna dziewczyna, która mu zawsze sprawiała kłopoty.

— No, dam ja jej! — obiecywał sobie — Pamiętaj długo! Wywietrzą jej z głowy głupstwa, odechce się jej romansów! Na najsurowszą pensję, jaką tylko istnieje, oddam! Niech tam sobie z nią radzą, niech wypędzają tego dyabła, który siedzi w niej od najmłodszych lat! A to plaga egipska nie dziewczyna! W matkę się wdała!...

Radca zastanowił się przez chwilę. Czyżby istotnie w matkę?...

Musiał przecież przyznać sam przed sobą, że żona jego była kobietą cichą, spokojną, bez temperamentu — umiała tylko płakać i skarżyć się jęklawie.

Nie po niej więc odziedziczyła Józia swoje żywe usposobienie.

— Hm! — mruknął radca — Mężczyzna, to co innego, a taka smarkata powinna patrzeć w książkę i słuchać! Jak przyjdzie czas, to się o niej pomyśli!

Ten czas „myślenia” odkładał sobie wszakże Maliniewicz na czas nieograniczony i nie miał wcale zamiaru kłopotać się przedwcześnie przyszłością córek. Wogóle starał się zawsze o to, aby mu córki jak najmniej sprawiały zachodów.

Dawał przecież pieniądze, co prawda, dawał o ile mógł najmniej, ale ostatecznie płacił za wszystko, czego było konieczne potrzeba.

Dziewczęta były zawsze porządnie ubrane, chodziły do szkoły, uczyły się oddzielnie języka francuskiego i gry na fortepianie.

W życie duchowe córek swoich Maliniewicz nie wglądał, pozwalał im swobodnie rozwijać się pod wpływem służących i koleżanek.

O tem, że dziewczynkom brakować może ciepła ogniska domowego i troskliwej opieki — radca nie myślał nigdy. Dlatego też Maliniewicz wyraźnie faworyzował młodszą, Kazię, bierną, cichą dziewczynkę, która pilnie uczyła się lekcji i była zawsze „grzeczną”. Nie miała specjalnych wymagań i nie mąciła ojcu żadnym wybrykiem swawoli dziecinnej zadowolenia z codziennego życia.

Natomiast Józia od najmłodszych lat przyprawiała ojca o irytację swoim wybuchowym temperamentem i nieobliczalnem usposobieniem.

Uczyła się nierównomiernie; najczęściej przynosiła do domu złe świadectwa, niekiedy zaś, zwykle na krótko, napadała ją szalał pilności i wówczas czyniła nadszpodziewane postępy w nauce.

Ojcu nieraz odpowiadała hardo, czasem jednak rzucała mu się ni stąd ni zowąd na szyję z jakąś zbudzoną nagle w głębi jej młodego serca czułością, którą radca uważał za zbyt uczuciową i egzaltowaną.

Miewała różne zachcianki: to chciała uczęszczać

na lekcje tańca, to znów kiedyindziej pragnęła uczyć się jeździć na rowerze.

Ojciec próbował raz umieścić ją w małym miasteczku u dalekiej krewnej, swojej, zwiędłej, zaszuszonej, pedantycznej, starej panny.

Józia uciekła stamtąd po kilku dniach. Nie miała pieniędzy na jazdę koleją, więc przeszła piechotą kilka mil podczas deszczu i zjawiała się w domu zmoczona, przeziębiona, zachrypnięta.

Kiedy Józia zaczęła wyrastać na ślicznego podlotka, nastały nowe utrapienia.

Wieczorem studenci gimnazjalni przeciągali z mandolinami długim szeregiem pod oknami mieszkania radcy. W książkach szkolnych i zeszytach Józia pełno było różowych i niebieskich arkusików, zapisanych wierszami w rodzaju:

„I dziwię się, że kwiaty z pod stóp Twoich nie rosną...” lub „Szukałem Ciebie między kwiatami...” albo „Czy ja Cię kocham, pytaj słowika!...”

Co jakiś czas zjawiały się u Maliniewicza rozżalone matki ze skargą, że synowie ich zaniedbują naukę szkolną przez Józję. Jeden nawet pono zamyslał o samobójstwie, inny więcej pomysłowy chciał utopić rozpacz bezwzajemnej miłości w awanturkach przygodach i zamierzał zostać chłopcem okrętowym.

Józia płakała, przysięgała, że na żadnego chłopca już nie spojrzy, ale po pewnym czasie powtarzało się to samo z różnymi wariantami.

W takich wypadkach brała zawsze Józję w obronę stara kucharka, która służyła jeszcze u jej matki.

Aby pocieszyć swoją ulubienicę, „biedną sierotę”, jak ją nazywała — buntowała dziewczynkę przeciwko ojcu. Uzałała się nad losem „sieroty” i opowiadała, jak bardzo i dlaczego była nieszczęśliwą jej matka.

Józia przedwcześnie poznawała tajemnice życia i stopniowo traciła szacunek do ojca. Garnęła się natomiast bez wyboru do wszystkich, którzy jej okazali trochę uczucia. Tymczasem Józia rosła i stała się coraz ładniejszą.

Wkrótce już nie tylko chłopcy w mundurkach gimnazjalnych oglądali się za nią.

Kiedy przyszła wojna, a z nią ewakuacja Krakowa, radca Maliniewicz wysłał córki ze służącą do Pragi.

Pociągnęło to wprawdzie za sobą pewne wydatki, ale było dla radcy bardzo wygodne.

Maliniewicz spojrzał znowu na anonimowy list. Nie! to coś niesłychanego!

Radca był niezmiernie czuły na punkcie słowa „kompromitacja”, a tu dowiaduje się, że jego córka „kompromituje się na każdym kroku”.

Krew w nim zakipiała, irytacja jego wzrosła do tego stopnia, że zląkł się ponownie o swoje zdrowie.

Wzburzone jego nerwy uspokoiły się trochę pod wpływem ruchu ulicznego. Wszedł właśnie na „Přikopy” i ta żywo pulsująca arteria ruchu praskiego zajęła jego uwagę.

— Bardzo porządne miasto — mówił do siebie — jakie kamienice czteropiętrowe, jakie sklepy z delikatesami, to tu widocznie na jednej ulicy jest kilku „Hawelków”. Ruch, życie i co za szykowne kobiety! To nie tak, jak teraz w naszym pustym, ospałym Krakowie, skąd się wszystko „wyewakuowało”! E! może to dobrze, że człowiek wyrwał się z tych nudów krakowskich! Bardzo porządne miasto ta Praga, wesołe zdaje się. Jak sobie tylko zepchnę z głowy tę irytację z Józką, będzie się można zabawić!

Radca rzucił uważne spojrzenie w wielką taflę lustrzaną na jednej z wystaw sklepowych. Zupełnie zadowolony z przeglądu swej osoby, poszedł dalej.

Na rogu ulicy zapytał znowu policyjanta o drogę na „Vinohrady”. Stróż bezpieczeństwa wskazał mu plac Wacława.

Bar-automat, przepełniony jak zwykle w porze przedobiednej, zwrócił jego uwagę.

— Warto się czego napić — pomyślał — z podróży człowiekowi w gardle zaschło, a przytem irytacja mnie czeka... Trzeba się odświeżyć trochę... Piwo tu podobno pierwszej klasy... Oryginalny piłzner bardzo tani... Trzeba spróbować... Tylko żeby tak przed tem piwkiem znalazł się jakiś kieliszek wódeczki i przyzwolita zakąska.

Wszedł do wnętrza baru. Przez chwilę obserwował z zajęciem manipulację automatycznej obsługi gości. Widział już takie automaty niegdyś w Wiedniu i był ogromnym ich zwolennikiem.

— To jest po europejsku! Wrzucisz dwadzieścia halerzy, leje się piwo, wrzucisz drugie dwadzieścia halerzy, jedzie sobie „kanapka” z kawiozem albo łososiem... Bardzo praktycznie... I czekać nie trzeba i napiwków się nie daje... W Wiedniu tak samo...

Że też to w naszym konserwatywnym Krakowie czegoś podobnego nie zaprowadzą! A czy oni tylko mają tutaj jakąś wódkę?

Znalazł napis „polská žitná”, podszedł więc, wrzucił monetę niklową, podstawił skrupulatnie kieliszek i czekał.

— Niepełno! Wszędzie oszukują!

Wypil.

— Niezła! Możeby tak jeszcze jeden, ale samemu, to nudno...

W tej samej chwili zbliżył się do niego jegomość z rudawą hiszpańską bródką, ubrany z mocno wyszarzaną elegancją. Zdjął w grzecznym ukłonie wytarty cylinder i zaczął:

— Przepraszam, że pozwalam sobie zaczepić, ale będę mógł może służyć jakimś informacjami. Odkładuję, że pan dobrodziej Polak i przybywa prosto z dworca kolejowego... Ja Pragę znam doskonale, a dla każdego rodaka jestem zawsze gotów na usługi.

Pan dobrodziej pozwoli, że się przedstawię. Jestem Jerzy Alfred Jan Potyra-Potyrowski, inżynier ze Lwowa.

Ilość imion i skombinowane nazwisko zaimponowały radcy. Uprzejmie wyciągnął rękę.

— Bardzo mi przyjemnie poznać. Radca Maliniewicz z Krakowa. Ale po czem pan poznał, że jestem z Krakowa!

— Rodaka się wyczuje, łaskawy panie, a zresztą widziałem, że pan dobrodziej prościuteńko zmierza do „polskiej żytniej”.

— A możebyśmy się tak napili — proponował radca, zadowolony, że znalazł towarzysza.

— Hm! Zwykle przed obiadem nie pijam...

— Jeden nie zaszkodzi... Nową znajomość trzeba oblać!

— A, w takim razie chętnie...

Wypili po kieliszku wódki raz, drugi... Radca zaprosił nowego znajomego na przekąski, a następnie proponował, aby się napili piwa.

— Jeżeli się jest w sercu Czech, trzeba skosztować słynnych piw czeskich...

— Ależ, panie radco, któż widział pić piwo w „automacie”. Na piwko chodzi się do piwiarni — tam się dostaje świeżuteńkie — prosto „od čepu”, jak mówią Czesi... Jeżeli pan radca chce wypić „bomble” dobrego piwa, to służę jako przewodnik. Tutaj niedaleko jest piwiarnia, gdzie piwo podają „prima prima”.

...Zawahał się przez chwilę. Przypomniał sobie sprawę, która była powodem jego przyjazdu do Pragi. Wahanie trwało wszakże krótko.

— A niech irytacja poczeka. Dość będzie czasu! Szelma Józka zyska na tem jaką godzinę! A ja ochłonę trochę... Zwrócił się do Potyrowskiego.

— Jeżeli pan tak łaskaw, to możemy iść. Czy to daleko ta piwiarnia?

— Nie! Tu zaraz — blisko, bliźutko — kilka minut drogi.

Weszli do wielkiej, eleganckiej piwiarni, połączonej z restauracją.

Usiedli przy stoliku. Potyrowski wielkopańskim gestem przywołał kelnera i kazał podać dwa „duże” piwa i spis potraw.

Po kilku „kolejkach” pomiędzy nowymi znajomymi panowała taka harmonia, jak gdyby się znali od dawna.

Potyrowski wtajemniczał radcę, gdzie i jak w Pradze zabawić się można.

— A do której godziny tutaj „lokale” otwarte? — pytał Maliniewicz...

— Rozmaicie — jedno do dwunastej, inne do pierwszej, inne jeszcze do drugiej w nocy!

— No tak, to rozumie! Tutaj się przynajmniej wojny nie czuje! A u nas, panie tego, w Krakowie — twierdzi! O dziesiątej „szlus”! Wszystkie knajpy zamykają i idźcie człowieku spać o tej godzinie, o której cię do snu układali, kiedyś był niemowlęciem!

— — — — —  
Radca przez cały dzień i większą część nocy „poznawał” w towarzystwie Potyrowskiego — wesołe życie Pragi.

Resztę nocy przepędził w hotelu, a w mieszkaniu córek zjawił się na drugi dzień koło południa — bez walizki ręcznej, którą zgubił gdzieś w czasie swej wędrówki nocnej — ale zato z portfelem do połowy wypróżnionym z pieniędzy, z bólem głowy i z „katzenjammerem”.

(Ciąg dalszy nastąpi.)